

Twarde lądowanie w Waszyngtonie

13 marca 2024

W 25. rocznicę dołączenia Polski do NATO prezydent Andrzej Duda, premier Donald Tusk, a także pozostający nieco w cieniu podczas tej wizyty minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, spotkali się w Waszyngtonie z prezydentem Stanów Zjednoczonych Joe Bidenem. Stanowiący główny punkt podróży polskich władz do USA rozmowa od wielu dni budziła duże emocje i jeszcze przed rozpoczęciem dyskusji w Białym Domu ze strony gospodarzy zaczęły napływać sygnały, będące jasnym sprowadzeniem przywódców naszego umęczonego kraju na ziemię.

Po zakończonym spotkaniu premier Tusk przekazał, że rozmowy koncentrowały się wokół wsparcia dla Ukrainy ze strony Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej i Sojuszu Północnoatlantyckiego, co podobno było „zrozumiałe”. Prezydent Duda z kolei relacjonował, iż dyskusja dotyczyła kwestii bezpieczeństwa i sytuacji „w naszej części Europy”, a także „oczywiście” wojny na Ukrainie. Premier zapowiedział również zwołanie już w piątek 15 marca „nagłego, nieplanowanego szczytu Trójkąta Weimarskiego”, czyli formuły, w ramach której Polska współpracuje z Niemcami oraz Francją.



Gniewna reakcja ambasadora

Na kilka dni przed wizytą prezydenta Dudy i premiera Tuska w Stanach Zjednoczonych korespondent RMF FM Paweł Żuchowski ujawnił treść pisma, które amerykańska Polonia skierowała do prezydenta Polski. W liście, pod którym podpisali się przedstawiciele kilku organizacji, ale też prawnicy i dziennikarze, w tym korespondent „Najwyższego Czasu!” ze Stanów Zjednoczonych Marek Bober, podkreślono przede

wszystkim, iż „Amerykanie polskiego pochodzenia (...) stanowczo sprzeciwiają się głębszemu angażowaniu Polski w wojnę” na Ukrainie.

W liście zauważono, że wizyta polskich przywódców w USA jest „krytycznie ważna” i wyrażono nadzieję, że nasz umęczony kraj „poprowadzi świat w kierunku deeskalacji tego konfliktu i jego rozwiązania na drodze negocjacji”, gdyż Europa nie potrzebuje więcej wojny, lecz pokoju. „Polska nie może dać się wciągnąć lub być zmuszona do militarnego zaangażowania poza granicami Polski, chyba że najpierw sama zostanie zaatakowana” – podkreślono. Przytomnie zauważono też, że działania eskalacyjne ze strony przeciwników Rosji spotkają się prawdopodobnie z tożsamą reakcją moskali. Amerykańska Polonia przestrzegła przed „tragicznymi skutkami dla Polski i świata” eskalacji konfliktu, do czego dążą niektórzy z europejskich przywódców. „Wzywamy polskich polityków, aby powstrzymywali się od obraźliwych, retorycznych ekscesów i pustych gróźb” – napisano, w czym trudno nie dostrzec nawiązania do słów o „wgnieceniu Putina w ziemię”, jakie padły z ust drugiej najważniejszej osoby w państwie.

Na koniec podkreślono sprzeciw Amerykanów polskiego pochodzenia wobec głębszego zaangażowania naszego urokliwego bantustanu „w wojnę, której nie da się wygrać i która może ostatecznie doprowadzić do zniszczenia Polski”, a także zaapelowano do wizytujących Waszyngton 12 marca Dudy i Tuska o dołączenie „do tych przywódców europejskich, którzy wzywają do pokojowego rozwiązania tego konfliktu”. I choć wydawałoby się, że w krótkiej odezwie nie padają żadne kontrowersyjne sformułowania, to list wywołał gniewną reakcję ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych Marka Magierowskiego.

Ambasador wydał oświadczenie, w którym już na wstępie zauważył, że jest to stanowisko jedynie części amerykańskiej Polonii. Na krótkie, bo mieszczące się na zaledwie jednej stronie kartki A4 pismo, Magierowski odpowiedział jeszcze krócej. Dyplomata – broń Boże – nie odniósł się do żadnego z

przycaczanych przez działaczy polonijnych argumentów, ale przekazał jedynie, że ambasada jest zaniepokojona „treścią i tonem niektórych ostatnich wypowiedzi, odzwierciedlających retorykę Kremla w tej kwestii”. A skoro tak, to nie ambasador, ani tym bardziej prezydent Duda, musi odpowiadać na list Polonii, ale amerykańska Polonia powinna się tłumaczyć z podchwycenia złowrogiej kremlowskiej retoryki.

Zdementowane informacje

W poniedziałek 11 marca, dzień przed spotkaniem z najważniejszym sojusznikiem, przez złośliwców zwanym „zwierzchnikiem” naszego urokliwego bantustanu, prezydent Duda zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, podczas którego spotkał się z przedstawicielami rządu, a także klubów parlamentarnych. Duża część wstępnego wystąpienia głowy państwa poświęcona została na powtórzenie stanowiska, które można było już dobrze poznać. Prezydent Duda mówił o konieczności modernizacji armii, tak by móc się samemu obronić, zagrożeniu, jakie ma płynąć w kierunku nadwiślańskiego kraju z Rosji, a także potrzebie realizacji ustaleń szczytu NATO.

Nowością było natomiast przypomnienie, w kontekście 25. rocznicy wejścia Polski do Sojuszu, iż polscy żołnierze w przeszłości „walczyli ramię w ramię z żołnierzami armii Stanów Zjednoczonych i innych armii sojusznicznych” poza granicami Polski, „tam, gdzie trzeba było stawać w obronie wolnego świata”. Wspomnienie o tym i nadmienienie, iż „dzisiaj ramię w ramię stajemy z naszymi sojusznikami, wspierając walczącą z rosyjską agresją Ukrainę”, wywołało u co poniektórych zaniepokojenie ze względu na burzę, jaka wybuchła po tym, jak pod koniec lutego słowacki premier Robert Fico ujawnił, że część państw Unii Europejskiej potajemnie rozważa wysłanie wojsk na Ukrainę. Z kolei minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski zaledwie w piątek 8 marca zdradził, iż „żołnierze krajów NATO już są na Ukrainie”, dodając, że „one

same wiedzą najlepiej, które to są”.

Już we wtorek 12 marca z samego rana zarówno minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz, jak i wiceszef tego resortu Stanisław Wziątek zapewnili, że polskie wojska nie zostaną wysłane na Ukrainę, co mogło niektórym przypomnieć słowa Aleksandra Gorczakowa, powiadającego, iż „nie wierzy w niezdentowane informacje”.

Ostudzone ambicje

Podczas RBN prezydent Duda opowiedział się za przyjęciem „w niedalekiej stosunkowo przyszłości” Ukrainy do NATO oraz zachwycał się tym, że „to właśnie my” jesteśmy tymi, którzy zostali zaproszeni, czy jak wolą złośliwcy „wezvani”, do Białego Domu ćwierć wieku po tym, jak struktury NATO zostały rozszerzone nie tylko o Polskę, ale też Czechy i Węgry. Polski przywódca zapowiedział również wystąpienie z postulatem, „by państwa NATO wspólnie zdecydowały, że wymaganie Sojuszu będzie wydatkowanie nie tyle 2 proc., co 3 proc. PKB na obronność”, lecz ambicje głowy naszego umęczonego państwa zostały błyskawicznie ostudzone przez Departament Stanu, który ustami swego rzecznika zaproponował, by w pierwszej kolejności popracować nad „skłonieniem każdego kraju do spełnienia progu 2 proc.”.

Jak wynikało z medialnych doniesień, prezydent Duda miałby podczas rozmowy w Białym Domu prosić również o rozmieszczenie większej liczby amerykańskiego personelu i sprzętu wojskowego w naszym kraju. Jeszcze zanim doszło do wizyty, prezydent Biden podczas konferencji prasowej zadeklarował, że „nie ma takiej potrzeby”, aby zwiększać liczbę żołnierzy na polskiej granicy.

Premier Tusk przed zagraniczną podróżą ogłosił jedynie na portalu „X”, że choć z prezydentem Dudą różni się praktycznie we wszystkim, to „w sprawie bezpieczeństwa naszej Ojczyzny musimy i będziemy działać razem”, co ma się podobno dokonać

„nie tylko w czasie wizyty w USA”. Praktyczny wymiar takiej deklaracji można było odnaleźć w doniesieniach portalu „Politico”, iż polscy przywódcy podczas wyjazdu zjednoczyli siły, by „lobbować za pomocą wojskową dla Ukrainy”.

Kontekst spotkania

W przeddzień wizyty w USA prezydent Duda położył dość silny akcent na powiązanie europejskiego bezpieczeństwa z obecnością Stanów Zjednoczonych na Starym Kontynencie, co można odczytywać jako kontrę wobec prób federalizacji Unii Europejskiej, także w wymiarze militarnym. Występując na RBN, prezydent podkreślał, że potrzeba jest „więcej Stanów Zjednoczonych w Unii Europejskiej”, gdyż są one „fundamentem bezpieczeństwa europejskiego”, bez którego – zdaniem głowy państwa – owo bezpieczeństwo „jest bardzo kruche”. Tuż przed wylotem zdradził natomiast, że rozmowa skupiona będzie przede wszystkim wokół „bezpieczeństwa naszej części Europy” i podkreślił „absolutnie strategiczne” znaczenie relacji Polski ze Stanami Zjednoczonymi.

Wypowiedzi prezydenta Polski wskazują na zupełnie inne podejście niż to prezentowane przez naszych aliantów z Trójkąta Weimarskiego. W Niemczech nastąpiło poruszenie po tym, jak ubiegający się o prezydenturę w Stanach Zjednoczonych Donald Trump ogłosił, że USA nie będą bronić niewypełniających zobowiązania przeznaczania 2 proc. PKB na armię państw NATO. Liderka listy SPD do Parlamentu Europejskiego i przewodnicząca tej grupy w unioparlamencie Katarina Barley żaliła się, że Europa nie może już polegać na amerykańskim parasolu ochronnym i mówiąc o „drodze do armii europejskiej”, wskazała, iż może się podczas niej pojawić temat unijnej bomby atomowej. Barley opowiedziała się także za „pilną debatą w sprawie wspólnych europejskich środków odstraszania Rosji”, która – jak wyraźnie widać – obecnie stała się dobrym pretekstem do dalszej federalizacji Unii Europejskiej. Z kolei francuski prezydent Emmanuel Macron, który już kilka lat temu zaapelował o

stworzenie europejskiej armii, by „bronić się przed USA, Rosją i Chinami”, tym razem buńczucznie zadeklarował, iż Francja „byłaby gotowa użyć całej Europy” swego potencjału nuklearnego, tak by stał się on elementem „europejskiego planu bezpieczeństwa”.

Po drugiej stronie Atlantyku trwa natomiast kampania wyborcza przed jesiennymi wyborami prezydenckimi, czego przejawem jest zakaz spotkania z Trumpem, jaki miał otrzymać prezydent Duda. Z byłym i potencjalnie przyszłym prezydentem USA spotkał się w ostatnim czasie Wiktor Orban, który przekazał, że Trump ma plan na zakończenie wojny na Ukrainie i stwierdził, że „nie widzi innego zdeterminowanego, silnego człowieka, który mógłby to zrobić”. Biden wykorzystał zaś przemówienie o stanie państwa przed Kongresem do politycznej walki, atakując swojego poprzednika, który podobnie „powiedział Putinowi: rób, co chcesz”. Prezydent USA stwierdził także, że „stoimy w obliczu bezprecedensowego momentu w historii Stanów Zjednoczonych”, czym nawiązał do słów Franklina D. Roosevelta wygłoszonych przed Kongresem w styczniu 1941 roku. Zaledwie jedenaście miesięcy później Roosevelt znów wystąpił w tym samym miejscu, a Stany Zjednoczone niemal jednogłośnie decyzją parlamentarzystów przystąpiły do II Wojny Światowej.

Innym aspektem wizyty jest kwestia wsparcia dla Ukrainy, o które zabiegali polscy przywódcy w Waszyngtonie. Pakiet pomocy dla naszego wschodniego sąsiada został przegłosowany w Senacie USA, ale republikański spiker Izby Reprezentantów Michael Johnson nie poddał projektu pod głosowanie, co uniemożliwia jego przyjęcie. Z Johnsonem spotkał się prezydent Duda, który podkreślał, że z punktu widzenia Polski, jako członka NATO, kluczowe „jest to, żeby Stany Zjednoczone ze wszystkich sił wsparły to, by Rosja nie zwyciężyła na Ukrainie”. Prezydent przekonywał też amerykańskiego polityka, iż „trzeba dzisiaj wspierać także i Ukrainę”, co ten podobnie zrozumiał, choć złośliwcy podejrzewają, że Johnson zakończył rozmowę obietnicą, że jeszcze się do prezydenta Dudy odezwą, co nasz

przywódca nieco opacznie zrozumiał. Ponadto zachowanie głowy naszego umęczonego kraju mogło przypominać umizgi petenta uwieszonego u klamki urzędu. Prezydent Duda zdradził, że podziękował za amerykańską obecność w Polsce, a także za możliwość zrobienia zakupów militarnych, a więc wydania pieniędzy polskich podatników w Stanach Zjednoczonych.



W czym interesie?

Przed spotkaniem prezydenta Bidena z prezydentem Dudą i premierem Tuskiem doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Jake Sullivan przekazał, iż amerykańskim „darem” dla naszego urokliwego bantustanu będzie „udzielenie bezpośredniej pożyczki” w wysokości dwóch miliardów znaczonych dolarów, które można wydać jedynie na uzbrojenie, a także możliwość zakupu dziewięćdziesięciu sześciu śmigłowców Apache. Nie wiadomo jednak, czy wobec takiej hojności naszego najważniejszego sojusznika polski prezydent i premier zachowali się jak należy i z wdzięczności ucałowali ręce wspaniałomyślnego darczyńcy. Sullivan poinformował także, że wobec pata w Kongresie Biden zatwierdził nadzwyczajną pomoc dla Ukrainy o wartości 300 milionów dolarów, co ma wystarczyć naszemu wschodniemu sąsiadowi na kolejnych kilka tygodni wojny.

Pomimo tego „lobbowanie” w sprawie Ukrainy nie ustawało podczas spotkania z Bidenem. Premier Tusk nawiązał do słów św. Jana Pawła II, który „powiedział, że nie może być sprawiedliwej Europy bez niepodległej Polski”, stwierdzając, że obecnie „nie może być sprawiedliwej Europy bez wolnej i niepodległej Ukrainy”. W wypowiedzi dla mediów szef rządu warszawskiego zachwycał się „jednością poglądów” oraz ocenił, że „właściwie w każdym punkcie tej rozmowy mieli wspólne stanowisko” z przedstawicielami amerykańskich władz, a także przekazał, że dyskusja dotyczyła głównie spraw ukraińskich i pomocy dla niej „ze strony Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej, państw NATO”. Apelując do wrażliwego serca Johnsona, Tusk podkreślił, iż „od jego de facto indywidualnej decyzji zależy los milionów ludzi”, po czym podobno w całym budynku Kongresu słychać było rozdzierający szloch dochodzący z gabinetu spikera. Po rozmowach bardziej lakonicznie wypowiadał się prezydent Duda, który ujawnił, że pytany o ocenę sytuacji wojenną za naszą wschodnią granicą odpowiedział, iż „ogromne znaczenie ma pomoc, która jest przekazywana Ukrainie”.

Należy pamiętać, że w interesie narodowym Polski nie jest ani niekończące się przeciąganie wojny na Ukrainie, ani porażka naddnieprzańskiego kraju, choć może w nim leżeć pokój, choćby niezadowalający w pełni strony ukraińskiej. Można odnieść wrażenie, że o ile w kwestii wsparcia dla walczących bohaterów w czasie wizyty przywódców naszego urokliwego bantustanu w Stanach Zjednoczonych padła deklaracja przynajmniej symbolicznej pomocy, o tyle w przypadku kwestii dotyczących Polski prezydent Duda i premier Tusk zaliczyli w Waszyngtonie twarde lądowanie.

Autorstwo: Radosław Piwowarczyk

Źródło: NCzas.info